

rozmawiali po cichu. Kiedy podczas zabawy dzieci zachowywały się zbyt głośno, jedna z kobiet obracała się w ich stronę, by je zganić, oraz, wygrażając palcem i wytrzeszczając oczy, nakazać im ciszę.

Pieśni poprzedzające zjawienie się świętej były pełne wdzięku. Jeszcze więcej uroku miały, gdy tato opuścił pomieszczenie świętych, by tańczyć na środku dużego pokoju w rytm *atabaque*. Był on mężczyzną szczupłym, niższym od mamy, o odcieniu skóry jaśniejszym od naszego. Nie był już młody, jego twarz nosiła znamiona wieku, głębokie niczym koryta rzeczne bruzdy wyźłobiły na jego skórze wiatr i słońce, którym codziennie stawiał czoła, by pracować na roli i przez to zachować prawo do mieszkania ze swoją rodziną na terenie hacjendy. Naówczas Zeka Kapelusznik wyglądał już jak starzec. Był przywódcą mieszkańców Agua Negry i okolic, autorytetem we wszelkiego rodzaju kwestiach, od sporu w pracy po problemy zdrowotne.

Ojciec – noszący w sobie teraz świętą Barbarę – wyszedł z gorącego, tchnącego potem i lawendą pokoju świętych. Ubrany był w czerwono-białą, nieskazitelnie wykrochmaloną przez donę Tonhę spódnicę. Jego oblicze zakrywały szkarłatne korale błyszczącego welonu przytwierdzonego do diadem *adé*. Wyszedł, dobywając drewnianego, samodzielnie wystruganego miecza. Sprawnymi ruchami ciął krótkim mieczykiem powietrze. „Ach, święta Barbara, jasnowłosa dziewica, zstępuje do nas ze swym złotym mieczem!” – widzowie śpiewali chórem, klaszcząc i wtórując *atabaque*. Podczas gdy bębniarze zwiększali tempo, święta Barbara wiła się i kręciła. Dwie kobiety osunęły się na podłogę z przymkniętymi oczami oraz z drgawkami zwiastującymi nadejście kolejnych świętych Barbar. Mama i dona

Tonha zaprowadziły je do pokoju, aby także i je można było odpowiednio przebrać.

Od kilku ostatnich wieczornic *jarê Severo* zajmował miejsce w pobliżu bębniarzy. Przysłuchiwał się ich grze i próbował naśladować rytm, wystukując go na rozgrzanej skórce. Był już większy i silniejszy. Miał promienny uśmiech i – od harówki na słońcu – ciemniejszą niż wcześniej skórę. Za małe ubranie pękało na nim w szwach. Oczy Belonizji, tak jak i moje (ona też to zapewne dostrzegła), śledziły uważnie każdy jego ruch. Również wuj Servó przejmował czasem na chwilę jeden z *atabaque* – zawsze na początku uroczystości albo gdy nawiedzał nas i wirował między zebranymi w pokoju jeden ze szczególnie poważanych przez niego nieziemskich, na przykład Tupinambá. Nierzadko i Sutério przyłączał się do nas. On także, w spokojniejszych momentach uroczystości, próbował swoich sił w grze na *atabaque*.

Tamtęj akurat nocy pośród nas obecny był starosta. Pięć lat wcześniej ojciec wyleczył jedno z jego dzieci. Rzecz niebywała w Água Negrze: przyjechali po niego samochodem, czerwonym gordini. Do tej pory znałyśmy tylko forda rurla z naszej hacjendy i auta, które minęłyśmy po drodze do szpitala w dniu wypadku z nożem. Od tamtego czasu na nasze obchody świętej Barbary przyjeżdżał też starosta. Kiedy był na nich po raz pierwszy, tato nie przyjął od niego zapłaty. Poprosił go za to, żeby załatwił nam w urzędzie nauczyciela dla dzieci z hacjendy. Na twarzy Ernesta odmalowało się pewne zakłopotanie, lecz – nie mając innego wyjścia – obiecał, że spełni prośbę. Jego wdzięczność wobec mojego ojca oraz świętej była ogromna – musiał dotrzymać danego słowa. Obawiał się również, że urok, dzięki któremu jego syn

wyzdrowiał, może w każdej chwili prysnąć. Dlatego po kilku miesiącach zaczęła przyjeżdżać do nas urzędowym samochodem nauczycielka i trzy razy w tygodniu prowadziła po trzy lekcje w domu dony Firminy. Firmina mieszkała sama i dysponowała małą szopą z deskami, które – położone na dwóch wiadrach wypełnionych gliną – służyły za ławkę dla siedmiorga bądź ośmiorga dzieci. Żebyśmy dobrze przyswoiły sobie to, czego uczyła nas pani Marlene, wspierała nas matka. Mówiła, że tylko z matematyką nie może nam pomóc, bo jej nie umie: „Z literkami to my się lubimy, gorzej z liczbami”.

Początkowo starosta zaproponował nawet mniej pracochłonne rozwiązanie: wiedząc, że mama była piśmienna, chciał z niej zrobić nauczycielkę. Świadoma swoich ograniczeń, mama odmówiła. Podkreśliła znów, że „z literkami to do niej, to tak, ale z liczbami już co innego” i dodała, że bardzo pragnie, aby jej dzieci, zarówno te rodzone, jak i te „po pępku”, miały wykształcenie i lepsze życie od niej. To z tego powodu tato włożył tyle wysiłku w to, żebyśmy mieli nauczycielkę, a kiedy zrozumiał, że to nie wystarczało, żebyśmy mieli i szkołę. Sam nie potrafił czytać ani pisać, podpisywał się swym zrogowaciałym od zbierania plonów i porozcinanym od kolczastych krzaków palcem. Gdy musiał złożyć na jakimś dokumencie odcisk palca, starał się ukrywać brudne od ciemnego atramentu dłonie. Ze wszystkich jego pragnień z największym chyba w życiu uporem dążył do urzeczywistnienia tego, by jego dzieci umiały czytać i pisać. Kto widział, z jakim poświęceniem uprawiał ziemię albo z jaką powagą strzegł wiary *jarê*, myślał zapewne, że były to najważniejsze w jego żywocie świętości. Lecz kto, tak jak my, widział, jak dumny był Zeka ze swych uczących się

czytać, ceniących szkołę dzieci, wiedział, że właśnie to było spuścizną, którą najbardziej chciał nam po sobie zostawić.

Nie byłam szczególnie wstrząśnięta, gdy tamtej nocy ujrzałam – zanim nawiedzili nas i przejęli ciało ojca wszyscy inni nieziemscy – jak święta Barbara wiruje, po czym z krzykiem, mierząc do starosty mieczem, zatrzymuje się przed nim i okazuje mu cześć, jak gdyby witała jakiegoś monarchę, a zarazem jak gdyby zwracała się do swego poddanego, by prosić go, wobec wszystkich zebranych, żeby dotrzymał złożonej w przeszłości obietnicy (raczej nieznaney nam na ówczas), żeby zbudował dla dzieci pracowników hacjendy szkołę. Starosta spojrział na świętą zmieszany, uśmiechając się z zakłopotaniem, a następnie poczuł na sobie wzrok czterdziestu mieszkających w Água Negrze rodzin. Cokolwiek poruszony, zważając na otrzymane łaski i obawiając się niedoli, jaka mogła go spotkać z powodu niedostatecznego wysiłku włożonego w wypełnienie rozkazu świętej, przytaknął posłusznie.

I 2

Parę miesięcy później rozpoczęła się budowa szkoły. Nie wiemy, jak do tego doszło, ani jakie prywatne korzyści zakładały negocjacje między starostą a rodziną Peixoto, lecz prace zostały zatwierdzone i sami mieszkańcy hacjendy zaczęli ochotniczo wznosić mały trzypokojowy budynek. Odbywało się to w niedziele, czyli w dni wolne od pracy na roli (nie można było jednak zapomnieć o nakarmieniu i napojeniu zwierząt). Miejsce przeznaczone pod budowę